

KAWA

z kardamonem

Joanna Jagiello

Joanna Jagiełło
Kawa z kardamonem

© by Joanna Jagiełło
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Olga Reszelska

Skład i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie V

ISBN 978-83-7672-494-2

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

KAWA z kardamonem

Joanna Jagiełło



Mojemu Dziadkowi

PROLOG

Była ładna pogoda, w sam raz na zdjęcia. Popołudniowe słońce oświetlało miękkim światłem trawę, krzak kwitnącej forsycji, ławkę obok i twarz siedzącej na niej kobiety. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia parę lat. Duże, szaroniebieskie oczy, zmrużone teraz od słońca, mały nosek usiany piegami, ładne usta. Uśmiechała się do mężczyzny, trzymającego w rękach aparat fotograficzny, nawet bardziej niż do siedzącego na jej kolanach niemowlęcia. Dziecko ubrane w białą sukieneczkę z cieniutkiego batystu, uszytą na pewno przez jakąś ciocię lub babcię, bo kupienie czegokolwiek graniczyło wtedy z cudem, nie płakało. Wpatrywało się w obiektyw, podnosząc do góry ładnie zarysowane brwi. Spod białego czepka wystawały złociste kędziorki. Nie były to jeszcze czasy aparatów cyfrowych, więc ustawienie modelu wymagało zapewne trochę czasu i cierpliwości. Film w aparacie się kończył, być może było to już ostatnie zdjęcie. W tle widać było staw, a na nim, jeśli się dobrze przyjrzeć, jedną, samotną kaczkę, też pewnie wygrzewającą w słońcu swoje piórka, a jednocześnie chłodzącą krótkimi poruszeniami skrzydeł pobłyskujący od spodu brzuszek. Z drugiej strony, na górze, lśnił w słońcu biały, okrągły pałacyk, miejsce spotkań zakochanych par. Tuż przed zrobieniem zdjęcia kobieta wygładziła na kolanach swoją sukienkę w duże kwiaty. Prawą ręką objęła niemowlę, lewą zaś położyła na brzuchu,

gładząc wypukłość przez cienki materiał. Mężczyzna z aparatem pewnie powiedział, żeby przez chwilę się nie ruszała, i ta chwila trwała stanowczo zbyt długo. Było jej niewygodnie, ale posłusznie trwała w bezruchu. Jeśli rzeczywiście było to ostatnie zdjęcie, to mężczyzna schował aparat do torby i wziął dziecko. Kobieta może napiła się wody, musiało być gorąco, a potem wstała i poszli wolno w stronę stawu. Nie wiedziała jeszcze, że los szykuje dla niej niespodziankę, na którą nie jest gotowa.

WRZESIEŃ

I

– Fiiikuuus! – wrzasnęła Linka i gwałtownie usiadła na łóżku. Kudłaty, łaciaty pies chuchnął jej prosto w twarz ciepłym, szczęśliwym oddechem, a potem oblizał policzek. Niechętnie spojrzała na zegarek. No tak, dziewiąta trzydzieści. Ciekawe, czy ktoś z nim wyszedł. Mogła się założyć, że nie.

– Fikusku, byłeś na dworze? – zapytała, próbując wymacać kaptcie pod stertą gazet i wczorajszych, zmiętych ubrań. Szalony taniec psa, ślizgającego się na pasiastym dywaniku, mówił sam za siebie. Linka przeciągnęła się i spojrzała przez okno. Dach kościoła błyszczał od deszczu. Uwielbiała ten widok. Ubłagała mamę, żeby kuchnię przerobić na pokój dla niej. Jej pięć i pół metra powierzchni. Cud, że mieściło się tu i łóżko, i biurko, i regał na książki, i nawet mała szafa. Niech sobie Kaj ma swój wielki pokój. Ona woli tę dziuplę. Deszcz padał coraz mocniej. Muszę pamiętać o parasolce – pomyślała. – Dobrze, że rozpoczęcie roku dopiero na jedenastą. Umyję włosy, zjem śniadanie, przynajmniej nie muszę się spieszyć. Od jutra zacznie się życie o szarym świcie. Ostatni dzień relaksu.

Ziewając, podreptała do kuchni. Na wypolerowanej powierzchni blatu leżała kartka.

Halina!

Musisz zaprowadzić Kazika do przedszkola. Ja się nie wyrobię. Nie spóźnij się na rozpoczęcie roku. Zostawiam ci pieniądze na kwiatki. Będę późno.

Mama

Kwiatki to się daje na zakończenie roku, mamó – pomyślała Linka. A potem poczuła, jak wściekłość wypełnia ją po koniuszki lekko odstających uszu. Po pierwsze, nie żadna Halina. Tyle razy prosiła. Wystarczy, że tak ją nazwano po prababci, która w grobie się pewnie przewraca, bo jakby żyła, toby na pewno wołała, żeby Linka nazywała się inaczej. Julia. Monika. Może Marta. Wystarczy, że imię Halina widnieje we wszystkich dokumentach. Ciekawe, skąd wytrzasnęli takie obciachowe imiona: Halina i Kazimierz! Dobrze, że nie ma więcej rodzeństwa, matka by zaraz odnalazła innego krewnego z jakiejś zapyziałej dziury, Stefana lub Bożydara, czy jakąś tam Henrykę! Po drugie, to nie jest moje dziecko, mamó! Zaczyna się! Zajmij się Kazikiem, zaprowadź Kazika, poczytaj Kazikowi! Biedny Kaj (bo dla niej Kazik był Kajem), matka z tobą nie pójdzie, chociaż to pierwszy dzień przedszkola po wakacyjnej przerwie.

– Kaj, wstawaj! – zawołała, jednocześnie próbując skompletować strój galowy. Pięknie. Spódnica z poprzedniego roku nie chciała się dopiąć. Linka wyprasowała bluzkę, która na szczęście zasłaniała niesforny guzik, pożyczyła sobie od mamy dwie skarpetki w kolorze cielistym, zdecydowawszy, że żadne paski czy frotowy róż nie będą pasowały do wyjściowych pantofli, odetchnęła z ulgą i wreszcie poszła obudzić Kaja.

Zaspany sześciolatek, usłyszawszy, że zaraz idzie do przedszkola, postanowił zapakować w plecaczek wszystkie swoje sa-

mochody. Uparł się też, żeby założyć ulubione szorty plażowe w zielone palmy, a na śniadanie chciał koniecznie parówkę z musztardą. Samochody się nie zmieściły, więc oprócz plecaka największe dwa auta Kaj wziął po prostu pod pachę i nie chciał się z nimi rozstać ani przy ubieraniu, ani przy śniadaniu. Pod szorty założył grube rajstopy. Hm, wyglądało to dość dziwnie, ale dziecko wydawało się być zadowolone. Parówki nie było, więc wyjadł pół słoika musztardy i zjadł ciasteczko. Linka nic nie zjadła, bo w lodówce oprócz musztardy znajdował się tylko nadjedzony serek waniliowy, ale i tak nie była głodna. W wakacje przyzwyczała się do spania do południa i jej żołądek o tej porze nie dawał jeszcze znaku życia. Poza tym przez dwa miesiące właściwie rzadko patrzyła na zegarek. Teraz dopiero zaczną się poranne stresy. Próbując dopiąć spódnicę i znaleźć szcztokę do włosów, myślała, że już się zaczęły. Może dlatego nie miała ochoty nawet na resztkę serka. Na szczęście przedszkole nie było daleko. Dopiero dziesiąta dwadzieścia. Zdążą.

Kaj czekał już grzecznie przy drzwiach, właściwie to cichszy niż zwykle, ubrany w kurteczkę przeciwdeszczową. Linka wyjęła z szafy swoje czarne pantofle, ale spotkała ją przykra niespodzianka. Buty były za małe! Spróbowała jeszcze raz, ale jej stopy nijak nie chciały w nie wejść. W myślach dokonała szybkiego przeglądu. Co w zamian? Adidasy? Czerwone, wysokie trampki? Buty górskie? Swoją drogą, jeśli aż tak urosła jej noga, to może jakieś buty mamy będą dobre? Były świetne. Jedyne problem polegał na tym, że mama chodziła na obcasach. Trochę wysokie te obcasy, ale efekt całkiem, całkiem. Linka była wysoka i szczupła, w szpilkach wyglądała jak modelka. W sumie trochę obciach, ale trampki jeszcze gorsze. Wzięła Kaja za rękę i otworzyła drzwi. Do kieszeni wsunęła pozostawiony przez mamę banknot. Będzie na jakiś obiad – pomyślała.

Z niewielkiego deszczu gdzieś w środku drogi zrobiła się ulewa. Kaj schował się pod swoim niebieskim, nieprzemakalnym kapturkiem, ale Linka zapomniała parasolki, a buty nie miłosiernie uwierały. Nie było widać, że wakacje się skończyły – ulice wciąż były pustawe, a samochody przejeżdżały gładko Marszałkowską mimo godzin szczytu. Po mokrym chodniku czasem przemknęła jakaś parasolka, niczym zmoczony deszczem, przywiedły grzyb. Jediną oznaką początku roku szkolnego było pojawienie się przenośnych samochodowych straganów z wielkimi napisami: „PODRĘCZNIKI NOWE I UŻYWANE”. W drodze na plac Dąbrowskiego zostali zaczepieni cztery razy przez osiłków w dresach, którzy pofnym szeptem spod kapturów proponowali zakup podręczników, zupełnie jakby sprzedawali narkotyki lub broń. Linka zdała sobie nagle sprawę, że nie ma jeszcze nic do szkoły. Na szczęście pierwszy tydzień był zawsze ulgowy. Tuż przed samym przedszkolem Kaj zorientował się, że zostawił plecak w domu i zrobił awanturę. Dziewczyna wpadła do przedszkola zziębnięta i spocona mimo deszczu. Czerwonowłosa przedszkolanka obrzuciła ją zde gustowanym spojrzeniem.

– Dzieci przyprowadzamy do dziewiątej – wysyczała. – Masz kaptcie, Kazik?

Nie miał. Nie miał również kredek bambino, dużej paczki chusteczek, bloku, nożyczek ani żadnej innej rzeczy z listy rozdawanej rodzicom tuż przed wakacjami.

– Śniadanie jadł? – zapytała sucho ruda.

– Jadłem! – wtrącił się Kazik. – Nic w lodówce nie było, ale musztardy zjadłem prawie cały słoik! – pochwalił się.

Przedszkolanka westchnęła i pokręciła głową, po czym chwyciła chłopca za ramię i po chwili zniknęli za drzwiami z napisem „Muchomory”. Linka, kuśtykając, wyszła z budynku.

Zegarek pokazywał jedenastą. Wymacała w kieszeni banknot i zamachała na przejeżdżającą taksówkę.

Płaski, kremowo-pomarańczowy budynek Gimnazjum imienia Bolesława Leśmiana dobitnie świadczył o tym, że nie jest to przedwojenna szkoła z listą słynnych wychowanków i historią zapisaną w jej annałach złotymi głoskami, lecz jedna z tych parterowych szkół gimnazjalnych, pospiesznie założonych w okresie, kiedy weszła w życie reforma oświaty. Kiedyś była tu podstawówka i w pewnym sensie cały czas się to czuło: w niskich ławkach na korytarzach, zapachu pasty do podłogi, tradycyjnych firankach w oknach w połowie uwieńczonych fabryczną falbanką. Klasa „a”, do której chodziła Linka, była jedyną klasą rejonową. Pozostałe dwie nosiły godne miano „klas dwujęzycznych”. Żeby się do nich dostać, trzeba było mieć średnią co najmniej 4,5 i dobrze zdać egzamin wstępny. Kiedy Linka rok wcześniej przyszła zdawać do tej szkoły i zorientowała się, że na sali jest co najmniej pięć razy więcej osób niż miejsc, nie miała specjalnej nadziei, że się tu dostanie. Jej średnia była wypracowana w pocie czoła, nigdy też nie ukrywała, że są na świecie znacznie ciekawsze zajęcia niż nauka.

Dlatego wchodziła teraz do sali opatrzonej świeżo wymalowanym napisem: „IIIa”, czyli do najgorszej spośród klas trzecich, a może i w całej szkole. Gdyby nie buty na dość karkołomnych obcasach, na pewno by do swojej klasy wbiegła, ponieważ była spóźniona co najmniej dziesięć minut, ale czuła, że na piętach już ma pęcherze i może jedynie powolnie kuśtykać. Sawecka będzie krzyżeć i kiwać się – pomyślała. – „No, Halina – przypomniawszy sobie nauczycielkę. – Tak nie można, dziecko. Wszyscy czekamy, aż łaskawie raczysz przyjść. Co, po drodze się do kawiarni zajrzało?”. Ich wychowawczyni każdego, kto się spóźnił, zasypywała gradem zdań, które byłyby zabawne, gdy-

by nie to, że jej mocno uszminowane usta poruszały się przy tym coraz szybciej, biust falował, a ton głosu wznosił się nieprzerwanie i człowiek miał wrażenie, że nauczycielka za chwilę pęknie albo się na niego rzuci i pożre go – jednym słowem Sawecka bywała przerażająca. Halina wzięła głęboki wdech, zapukała i zdecydowanie nacisnęła klamkę.

– O, prze... praszam – wybąkała bardziej niż zdziwiona. Przy nauczycielskim stole zamiast Saweckiej w jej nieśmiertelnej garsonce w róże siedział... jakiś facet! Opalony, lekko szpakowaty, w niebieskiej koszuli. Już chciała się odwrócić i wyjść, gdy zobaczyła Natalię, Ankę, Chudego i całą resztę. Jej klasa! No tak, Sawecka pewnie chora jak zwykle, a podtusiały Jean Reno przyszedł na zastępstwo. Wszyscy dziwnie na nią patrzyli. Pewnie przez te buty. Linka usiadła na swoim miejscu obok Natalii i po chwili usłyszała szept: „Twoja spódnica...”. Spojrzała dyskretnie w dół i oblała się czerwienią. Bluzka podjechała do góry, odsłaniając niedopięty guzik i rozpięty zamek błyskawiczny. Szybko obciągnęła materiał i podniosła głowę. Czuła, że Reno się w nią wpatruje.

– Kto to jest? – zapytała szeptem Natalię.

– Nowy wychowawca – odszepnęła przyjaciółka. – Matematyk.

– A gdzie Sawecka?

– U córki w Londynie. Postanowiła nauczyć się angielskiego i przekwalifikować na anglistkę.

Matematyk nazywał się Jacek Szron, co właśnie napisał wielkimi literami na tablicy. Pod spodem zaczął pojawiać się plan lekcji. Czy ktoś, układając plan, w ogóle bierze pod uwagę wytrzymałość przeciętnego ucznia? Jak można zaplanować na piątek osiem lekcji, z których cztery ostatnie to fizyka, chemia, biologia i matematyka? Linka z westchnieniem zaczęła

przetrzęsać torebkę w poszukiwaniu czegoś do pisania. Natalia z lekkim politowaniem podała jej kartkę i długopis.

– Wzięłam dla ciebie. Wiedziałam, że zapomnisz.

Natalia, zawsze przygotowana, zorganizowana. Jej przyjaciółka i jej całkowite przeciwieństwo, także pod względem urody. Ciemnowłosa hiszpańska piękność o wypolerowanych migdałowych paznokciach. Linka lubiła swoją szopę kręconych włosów i była zadowolona z tego, że jest chuda i może opychać się ciastkami, ale przy Natalii czuła się jak dzieciak.

– Kiedy wróciłaś? – spytała Natalia. – Dzwoniłam do ciebie.

– Wczoraj wieczorem. Co robimy, jak się skończy ta szopka?

– Idziemy do ciebie, żebyś się przebrała – zachichotała Natalia. – A potem w miasto.

Dopiero kiedy matematyk zamknął dziennik i z filmowym uśmiechem pożegnał klasę, Linka zauważyła nową dziewczynę siedzącą z tyłu.

– Kto to jest? – zapytała szeptem.

– Nowa. – Natalia wzruszyła ramionami jakby na widok stonogi. – Kasia ma na imię.

Dziewczyna nie uśmiechała się. Powoli, metodycznie pochowała swoje rzeczy do plecaka, wsunęła krzesło i wyszła, nie patrząc na nikogo.

– Jakaś niesympatyczna.

– Nie wiem, cicha taka. No i miała pecha, bo jak przyszła, to jedyne wolne miejsce było koło Trębackiego.

– Usiadła z Trębalem?

– Nie miała wyjścia.

Trębał, osiłek o ramionach jak konary i rękach jak bochny, którego głównym zajęciem były codzienne treningi „na masę” na pobliskiej siłowni Zeus, nie cieszył się zbyt dużą sympatią dziewczyn.

Natalia bezskutecznie przetrząsała kłęb ubrań w szafie przyjaciółki. Nie mogła znaleźć nic, co już na pierwszy rzut oka nie wyglądałoby na za małe, za duże, niemodne, pogniecione lub brudne.

– Zrobiłabyś tu wreszcie porządek! – krzyknęła w stronę kuchni. Linka pojawiła się w drzwiach z dwoma kubkami w rękach.

– Daj spokój, niedawno robiłam. Po dwóch dniach jest to samo.

Postawiła kubki i wyciągnęła jakieś džinsy na chybił trafił. Miała nadzieję, że z tych jeszcze nie wyrosła. Natalia wpatrywała się w zdjęcia poprzyklejane taśmą do ściany.

– Nowe?

– Tak... Robiłam je w wakacje, jak już wróciłam z obozu.

Most Świętokrzyski w porannej mgle, rozmazana czerwień tramwajów, kolorowe parasole.

– Ładne – powiedziała Natalia. – Ale pogoda była beznadziejna, co?

– Cały sierpień padało.

– No tak. U nas był straszny upał.

U nas – to znaczy w Portugalii, gdzie Natalia spędzała już trzecie wakacje. Uroczy domek, wynajmowany przez rodziców Natalii, miał taras wychodzący na plażę, własny basen i panią do sprzątania.

– Ale ci zazdroszczę!

– Co ty. Straszna nuda. Codziennie plaża, nic więcej. Matka wpadła w depresję, bo ojciec miał przyjechać, ale wciąż zmieniał plany. Od rana bolała ją głowa i nie chciała jeździć na żadne wycieczki. Całymi dniami leżała pod parasolem i patrzyła w morze, a wieczorami oglądała ciurkiem portugalską telewizję, mimo że nic nie rozumie po portugalsku. A kiedy ojciec się w końcu zjawił, trzy dni przed naszym powrotem do Polski, po

prostu znikli, zostawiając mnie samą w tym wielkim domu. No i Leona w tym roku nie było.

Leo był niespełnioną, wakacyjną miłością Natalii. Już trzeci raz jechała z nadzieją, że chłopak, któremu rzucała powłóczy-ste spojrzenia z tarasu, w końcu się nią zainteresuje.

– Sama rozumiesz, masakra. Aaaa, poczekaj, coś ci przywiozłam.

Podawała jej płytę.

– Co to jest?

– Fado.

– Fado?

– Taka portugalska muzyka. Na początku mi się nie podobała, ale jakoś ją polubiłam. Bardzo dobrze robi, kiedy jest ci smutno. To Mariza, chyba najbardziej znana gwiazda fado.

– Dziwna nazwa...

– Po portugalsku „fado” oznacza los, przeznaczenie, coś w tym rodzaju.

Natalia ziewnęła i przeciągnęła się. Jeszcze raz spojrzała na zdjęcia.

– Są śliczne. Serio.

– Naprawdę ci się podobają? Ja nie jestem z żadnego zadowolona. Popatrz, to jest niedoświetlone, a to źle wykadrowane... no, nie wiem. Uwielbiam fotografować, ale chciałabym się nauczyć robić bardziej profesjonalne zdjęcia, to jest amatorszczyzna.

– Mój brat cioteczny chodzi do prywatnego liceum, do specjalnej klasy fotograficznej. Słyszałaś o takiej?

– Nie. Ale pewnie jest niezłe czesne.

Natalia wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, mogę go zapytać. Zaraz napiszę do niego esemesa. A tak w ogóle... gdzie w końcu planujesz zdawać?

– Nie mam pojęcia. I tak mnie nigdzie nie przyjmą. Egzamin napiszę na dziesięć procent, średnią będę miała dwa i dwa...

– Głupoty gadasz.

Łatwo jej mówić – pomyślała Linka. Natalia była podwójnie uprzywilejowana. Nie tylko bardzo zdolna, ale także bogata. Mogła wybierać między dobrymi szkołami państwowymi i prywatnymi. Linka zdawała sobie sprawę, że ona sama będzie miała problem, żeby dostać się do jakiegoś porządnego liceum, a na prywatne nie było jej stać. Będzie uderzała w „Dickensa” i „dziesiątkę”. Licea lekko spadowe, ale jeszcze nie takie najgorsze. Może się uda.

– Popsułaś mi humor. Idziemy?

– Poczekaj, Adrian mi odpisał. Zadzwoń do niego.

– Naprawdę powiedział, żebyśmy teraz przyszły? Jakoś mi głupio, początek roku i w ogóle.

– Powiedział, że już się wszystko skończyło, a on i tak musi zostać, bo się z kimś umówił. To blisko, pogadasz z nim i wszystkiego się dowiesz.

Z Nowego Świata skręciły w Chmielną. Szkoła, do której uczęszczał kuzyn Natalii, w ogóle nie wyglądała jak szkoła. Na fasadzie pięknie odnowionej kamienicy widniał napis: „XXX Społeczne Liceum Artystyczne”. Natalia pchnęła drzwi i zaczęły mozolnie wdrapywać się na ostatnie piętro po krętych marmurowych schodach.

– Nie wygląda jak szkoła – skomentowała Linka.

– Zobaczysz w środku.

Szkoła mieściła się na poddaszu. Przefiltrowane przez małe okienka w skosach dachu słońce odbijało się od antyram zajmujących obie ściany holu. Po lewej wisiały oprawione pastelowe i akwarelowe obrazy. Po prawej – czarno-białe zdjęcia

przedstawiające osoby w różnym wieku, przebrane w dziwne, historyczne kostiumy.

– O, jest Adrian! – krzyknęła Natalia.

Podszedł do nich jasnowłosy chłopak w czerwonej koszuli i sztruksowej marynarce. Taszczył wielki kosz z owocami.

– Cześć – powiedział, powstrzymując zadyszkę. – Obiecałem przywieźć z działki owoce do martwej natury – wskazał na barwny bagaż, który teraz stał przy jego nogach.

– Cześć – zawtórowała Natalia, wskazując równocześnie wzrokiem na ścianę. – Fajne zdjęcia.

– No, dobre. Klasa fotograficzna robiła je nauczycielom.

– To są nauczyciele?

– Tak. W różnych kostiumach. Każdy uczeń wylosował jednego nauczyciela, musiał wymyślić charakteryzację, dostarczyć przebranie i przygotować całą sesję. To jest anglistka jako Lady Makbet. To historyk jako Henryk VIII. Pani Marlena od ksero zagrała jedną z jego żon – zachichotał.

– Nieźle. A które twoje?

– Żadne. Ja jestem w klasie artystycznej. To mój obraz – pokazał akwarelę. – Ten projekt nazywał się Ulica Chmielna. Malowaliśmy dokładnie to samo miejsce, ale różnymi technikami.

Linka wpatrywała się w obrazy jak urzeczona.

– Chciałabyś się pewnie dowiedzieć czegoś o szkole? Mamy wszystkie przedmioty jak w normalnym liceum plus blok przedmiotów artystycznych – trzy razy w tygodniu po cztery godziny. U nas jest rysunek, historia sztuki, malarstwo i tak dalej, w klasie fotograficznej dokładnie nie wiem... O, tu jest nowy plan, możesz sobie poczytać – wskazał na gablotę wiszącą w końcu korytarza.

– A czesne? – odważyła się spytać Linka.

– Nie najniższe. Ale chyba warto. No i możesz wziąć udział w konkursie.

– Konkursie?

– Tak. Co roku jest konkurs w dwóch kategoriach: fotografia i malarstwo. Osoba, która wygra, jest zwolniona z czesnego. Ja też brałem udział, ale się nie udało. Zobacz, tu jest plakat.

W tym roku do konkursu trzeba było przygotować cykl od dziesięciu do piętnastu fotografii. Temat brzmiał: Moje miejsca. Termin: trzydziesty czerwca. W sumie sporo czasu – zamysliła się Linka.

Kiedy już wyszły na ulicę, jeszcze raz spojrzęła tęsknie na budynek szkoły. Już nie padało.

– Chodź, zapraszam cię na lody – zaproponowała Natalia. – Mama sypnęła kasą z okazji rozpoczęcia roku.

Po chwili minęły stary komis, sklep z misiami, przeszły przez skrzyżowanie z Bracką i weszły do Grycana. Kiedyś była tu kultowa budka z zapiekankami i okrągłymi stolikami, przy których były z ciekącym serem można było spożywać na stojąco. Teraz przy kolorowej witrynie skrywającej nieograniczone ilości lodowych smaków i kolorów uwijały się blondynki w zielonych ubrankach.

– Mam do ciebie prośbę – powiedziała Natalia, kiedy już usiadły przy stoliku nad pucharkami. – Pójdiesz ze mną jutro na casting? Dostałam informację z tej agencji, do której mnie zaprowadziła mama, no wiesz. Casting jest do jakiejś reklamy, chyba szamponu... Nie wiem, ale chyba chcę pójść, a samej mi jakoś głupio. Pójdiesz? Jutro, po szkole.

Natalia w zeszłym roku postanowiła spróbować kariery modelki. Nic dziwnego – byłoby grzechem nie wykorzystać takiej urody. Jednak kiedy tylko dzwoniło do niej z informacją o castingu, zawsze w ostatniej chwili się wycofywała.

– Jeśli to sprawi, że tym razem nie zdezerterujesz... Jasne, mogę się zabawić.

– Dobrze, że jesteś – usłyszała Linka, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi. – Pójdiesz do papierniczego? Jakies rzeczy trzeba Kazikowi pokupować, w przedszkolu prosili, a ja kompletnie nie mam czasu.

Jakby na dowód tych słów, mama siedziała przy stole kuchennym przed laptopem, monotonnie stukając w klawisze. Kazik zapewne oglądał bajki.

– Pójdę. Muszę też kupić książki do szkoły i zeszyty.

– Musisz dzisiaj? Nie możemy tego odłożyć?

– No, raczej nie. Szkoła się zaczęła.

Mama z westchnieniem pociągnęła za pasek torebki i wręczyła Lince parę banknotów.

– Nie wiem, czy wystarczy. – Linka z powątpiewaniem popatrzyła na pieniądze. – A właściwie wiem, że nie wystarczy.

Mama wstała, tęsknie patrząc na komputer, i, wzdychając, podeszła do regału, po czym wyjęła ze szkatułki na biżuterię jeszcze jeden banknot.

– Czy te książki muszą być takie drogie? – zapytała retorycznie. – Musisz to wszystko kupować?

– Nie, nie muszę. Może ty mi wybierzesz przedmioty, których w tym roku nie będę się uczyć?

– Niepotrzebnie się tak zaperzasz – wzruszyła ramionami. – Przecież mogłabyś robić na lekcji notatki. Ja w twoim wieku nie miałam ani jednej nowej książki, wszystkie używane.

– Kupuję używane. Większość.

– I takie drogie? W głowach im się przewracało. No dobra, idź już. Na stole masz listę z przedszkola.

– Mamo?

– Co znowu? Przeszkadzasz mi, przecież widzisz, że pracuję!

– Jest taka szkoła... artystyczna. Społeczna.

– Szkoła społeczna? Zwariowałaś? A skąd niby miałabym wziąć na to pieniądze? Uczyć ci się nie chce i tyle! Jakbyś się bar-

dziej przyłożyła, toby nie było takich problemów. Też mi coś! Szkoła dla gamoni z pieniędzmi! Cholernych nowobogackich!

Linka machnęła ręką, wzięła listę, kurtkę i wyszła.

Kiedy wróciła po trzech godzinach, mama siedziała dokładnie w tym samym miejscu, nadal stukając w klawisze. Nawet na nią nie spojrzała. Ostatnio była jakaś dziwna, obca. Zdawało się, że zupełnie nie zwraca na nich uwagi. Cały czas siedziała przy laptopie, a jeśli nie, to gapiała się w okno.

– Gdzie Adam? – spytała Linka.

– Jeszcze w pracy. Mieli awarię systemu, czy coś w tym rodzaju.

– A ty, co robisz?

– A co ja mogę robić? No powiedz, co ja mogę robić? Cokolwiek bym robiła, i tak będzie tak samo! To wszystko i tak nie ma sensu!

Mama otarła łzy, które już zebrały się jej w kącikach oczu. Linka bała się tych wybuchów, które pojawiały się nagle i nie miały wyraźnego powodu. Nie wiedziała już, czy woli, gdy mama patrzy przez nią jak przez szybę, czy gdy krzyczy. Obie sytuacje były nie do zniesienia. Zastanawiała się, czy powodem jest przepracowanie. Czy wszyscy dorośli tak mają? Nie usiłowała już mamy w takich sytuacjach uspokajać, a tym bardziej zadawać jakichś pytań. Parę razy próbowała, ale zawsze się to źle kończyło, więc tym razem postanowiła przeczekać.

Wstawiła wodę na herbatę. Chleba nie było. Znalazła w szafce jakieś herbatniki. W dużym pokoju z telewizora dobywały się wesołe głosy niebieskich ludzików. Na sofie spał Kaj. Mała rączka wymazana czekoladą zwisała nad podłogą. Linka z westchnieniem podniosła dziecko i zaniósła do pokoju. Zdjęła mu dżinsy i kapcie, ułożyła w łóżeczku, znalazła jego ulubioną przytulankę, pingwinka Śnieżka, ułożyła obok i przykryła ich kołdrą.

II

Casting odbywał się w wielkim biurowcu na Mokotowie. W białej poczekalni, niczym u dentysty, siedziały w kółku chudsze kopie Dody w jasnych rurkach i różowych tunikach, grzebiąc tipsami w żółtych włosach. Obok nich pulchniejsze, ale równie pewne siebie koleżanki wstukiwały esemesy w komórki. W kąciach pochowały się szare myszki, których wytapinowane matki rozmawiały ze sobą o przyszłych karierach córek. Natalia ścisnęła Halinę za rękę. Podeszły do lady, za którą siedziała recepcjonistka ze znudzonym wyrazem twarzy.

– Ankieta – burknęła i wyciągnęła dwie złożone kartki z kartonowego pudełka. – Na listę się wpisać.

Linka już zaczynała mówić, że przysłała tu tylko dla towarzystwa, ale Natalia syknęła:

– Cicho bądź, pisz.

Wymiary, waga, numer buta... posłusznie wypełniały rubryki. Kiedy chciały oddać formularze recepcjonistce, ta przewróciła oczami.

– Trzymać, czekać na swoją kolej. Po trzy wchodzicie...

Usiadły na białych krzesłach, patrząc na zamknięte drzwi. Po chwili wyszły z nich trzy dziewczyny z wypiekami na twarzy, zaraz otoczone przez matki i koleżanki, a do sali weszły następne kandydatki na modelki. Nagle Linka zauważyła jakiś ruch przy recepcji. Korpulentna blondynka właśnie robiła awanturę znudzonej recepcjonistce.

– Co, ankiet już pani nie ma? Jak to się skończyły? – wymachiwała rękami. – To jest granda w biały dzień!

– Niech się pani nie denerwuje – ziewnęła recepcjonistka. – Zara wydrukuję. Poczekaj pani chwilę, nie pali się.

Obok awanturniczo nastawionej matki stał nikt inny tylko... cud-Andżela. Cud-Andżela, czyli Andżelika Gębska, była

niekwestionowaną gwiazdą występów szkolnych. Grała w teatrze szkolnym, śpiewała solówki w chórze, a w dodatku brała udział we wszystkich olimpiadach z przedmiotów ścisłych. Była też przewodniczącą samorządu szkolnego. Miała jasne włosy z przedziałkiem na środku, które nigdy się nie puszyły, niewinne niebieskie oczy, lekko różową cerę i mały nos. W całej szkole była dobrze znana, a przez swoją klasę wręcz znienawidzona. Wychowawczyni, Sawicka, miała do Andżeliki stosunek zupełnie wyjątkowy: „A co Andżelika o tym sądzi? – pytała często. – Może Andżelika zdecyduje”.

Cud-Andżela stała teraz obok spoconej matki, patrząc na nie z góry, jakby zdziwiona, że też mogły przyjść na casting. I wtedy wyczytano nazwisko Natalii i dwa inne, nieznanne.

– Nie panikuj – Linka poklepała przyjaciółkę po ramieniu. – Będzie dobrze.

Natalia zniknęła za srebrnymi drzwiami.

Mama Andżeliki usiadła na zwolnionym miejscu. Było to zresztą jedyne wolne miejsce w poczekalni, w której robiło się coraz bardziej tłoczno.

– Idź się popraw, Andżela – powiedziała do córki. – A ty co, koleżanka? – otaksowała Linkę wzrokiem.

– Koleżanka.

– Pierwszy raz?

– Tak. Właściwie to ja tu jestem dla towarzystwa.

– A, dla towarzystwa – odprężyła się. – Dla mojej Andżeli to nie pierwszyna. Dwa, trzy castingi tygodniowo. Ale bez pracy nie ma kołaczy, jej mówię. Już w serialu wystąpiła i ma duże szanse na reklamę masła. Jak się chodzi, to się wychodzi, powtarzam. No, Andżela ma warunki, ale – przyjrzała się jej uważnie – i ty byś się nadała, dziecko, trochę makijażu i coś z tymi włosami warto by zrobić. Pan Bóg kobiety piękną nie

stworzył, powtarzam, tylko szafka z kosmetykami, he, he. Zasada jest prosta, powtarzam, kto się smaruje, ten jakoś wygląda.

Monolog pewnie trwałby jeszcze, gdyby Natalia nie wyszła cała we łzach.

– Strasznie się stremowałam. Zrobiłam z siebie idiotkę.

– Idziemy stąd – powiedziała Linka, lecz usłyszała swoje nazwisko i poczuła, jak Natalia wpycha ją za drzwi.

W wielkiej białej sali światła spod parasoli raziły w oczy. Po lewej stronie siedziała niewielka grupka: ciemnowłosa, niesympatyczna pani w średnim wieku, blondynka z zeszytem na kolanach i młody fotograf. Linka, Andżelika i jakaś niska, ciemnowłosa dziewczyna z wielką przerwą między zębami stały teraz przed nimi jak do rozstrzelania. Pani z nieprzyjemnym wyrazem twarzy udzielała instrukcji.

– Po kolei wychodzimy na środek. Przedstawiamy się: imię, nazwisko, wiek. Zainteresowania. Nazwa agencji. Potem pokazujemy dłonie.

– Po co dłonie do reklamy szamponu? – szeptem spytała Andżelę.

– Ciii, zawsze tak jest.

– Następnie taka wypowiedź – mówiła dalej niesympatyczna – „Szampon Star sprawia, że moje włosy są jak kwiaty”.

O, Boże! – Linka uniosła wysoko brwi. – Co za idiotyczny tekst. W życiu tego nie powie.

Na pierwszy ogień poszła brunetka i posłusznie wysepleniła wszystko. Pani z zeszytem na chwilę uniosła głowę i udało jej się przykleić do ust pokrząpiący uśmiech.

– Dziękujemy. Proszę – wskazała na Linkę.

– Nazywam się Halina Barska, mam piętnaście lat. Interesuję się fotografią... – zamilkła.

– Dłonie! – podpowiedział fotograf.